

Redakcja Progr.Liter.i Report.

Władysław Dunarowski

97
Dnia 1. I. 78.....

Godz. 16⁰⁵ 17³⁰.....

Główny Urząd Pocztowy
Poczta Polska
Delegatura w Warszawie
udziela zwolnienia
z obowiązku
Nadanie
Data 31 XII 78

ŚWIĄTECZNA PODŁAŻNICA 31 XII 78
=====

Nagle poczułem, że chłód szczypie w pośladki. Zbieram świadomość, badam stan rzeczy: senny to chłód czy ten rzeczywisty? Odczuwam powód, który unicestwia wszelką ułudę. Więc żalność do siebie: po co się obudziłem tak wcześnie. Izba zawiewa chłodem, pusto, mroczno, ani ojca, ani matki, nikogo, wszyscy jeszcze śpią. Acha, już wiem wszystko... Muszę wyjść na dwór, a strasznie nie mam ochoty. Mróz łechce pod derką, a co dopiero na izbie, w sieni, na dworze. Ubierać się na tę krótką wędrówkę. komu by się chciało. Zwlekam, przymykam oczy, udaję śpiącego - może mi się odechce i nie muszę. ~~xxmoże~~ Gdzie tam. A może inaczej sobie poradzić... W sienniku słoma, wsiąknie, wyschnie, śladu-znaku nie będzie. Akurat nie będzie. A co było miesiąc temu? Ledwie matka otworzyła drzwi, zamiast zaśpiewać "Kiedy ranne wstają zorze" ona w krzyk: Co tu za potop świata? Oberwanie chmury?

Udawałem twarde sen. Ale matka dalej lamenció, na głos, żeby cały dom słyszał... Tyli koń, do szkoły wnetż pójdzie, a z tym nie umie sobie poradzić. Słowem - awantura, wstyd, wypominki. Miałoby się to powtórzyć... Więc tłumaczę sobie dobrotliwie, perswaduję: jeden skok do sieni, drugi na dwór i po kłopotcie. Na dworze śnieg, trochę poszczypie, za to potem, gdy wrócę pod derkę, ciepło podwójne i błogość niewysłowiona.

Wyskoczyłem z pędem. Koszulina do pasa, więcej nic. Co by jeszcze? Pod derką wystarczy. Na dworze jasno, chyba od śniegu, bo przecież noc. Cały dom w ciszy, wokół cisza. Trochę to nijako, gdy znikąd żadnego echa - ani psa, ani człowieka. Dziwno i nieswojo. A może to północ? Czyli pora na duchy. Ile razy ktoś opowiada o spotkaniu z duchami i strachami - zawsze o północy zjawiały się te zwidy.

Nie czuję śniegu pod stopami, a tylko strach przed czymś, co mogłoby się nagle pokazać; więc zdobywam się na wysiłek, aby skrócić ten przymusowy pobyt na dworze i co prędzej znaleźć się tam, za drzwiami, w łóżku, pod ciepłą derką, którą postanawiam naciągnąć po sam czubek głowy. Wtedy więcej ciepła. Niestety, sama chęć sprawy nie rozwiązuje. Jeszcze trochę cierpliwości.

Bezradnie spoglądam na drzwi, na ściany domu i czekam chwili, kiedy będę wolny. Nagle to olśniewające zdumienie: ile drzwi w domu - do sieni, do obory, do szopy, do komory, ile okien - nad każdym świeża gałąź jedliny, tak świeża jakby co dopiero z lasu przyniesiona i tu wetknięta ku ozdobie całego domu.

Zauroczyło mnie to zjawisko, bo skąd i po co, a najważniejsze - kto był sprawcą tego dzieła. Nie czuję szczypania w nogi, bo w głowie zar wirujących myśli. W błysku jednej chwili zjawilo się zrozumienie rzeczy. Ależ tak, dziś wigilia, jutro święta... dziś uroczysta wieczerza, kolędy, może w oknie gwiazda zabłyśnie, może śpiewanie kolędników. Czyli coś nowego, coś niepodobnego do dnia codziennego. Sama radość i wesele.

Teraz dalsze zrozumienie rzeczy. To nie północ, ale świt, bardzo wczesny świt. Po nocy nikt do lasu nie chodzi, a tu ktoś był w lesie, naciął krzaków jedliny, przyniósł i cały dom przyozdobił, święta zwiastował, świat odmienił. Hej kolęda, kolęda.

Już wiem wszystko. Już chwytam za kłankę, aby próg przeskoczyć, gdy jakoś niechcący zawadziłem oczami o zbiornik z nawozem w samym rogu podwórza. Śmiech się porwał, bardzo głupi śmiech, bo to, co zobaczyłem, tylko do głupiego śmiechu pasowało. Na kupie obornika paradował najwyższy i najokazalszy krzak jedliny. Nie parę gałązek, ale krzak.

Zamiast rozkoszować się ciepłem legowiska, zadreptałem się myślami, kto był w lesie, komu się chciało tak szybko wstać, na mróz się narazić po to jedynie, by dom świątecznym nastrojem napełnić. Ojciec? Do późna w noc świecił lampę, nad jakąś gazetą ślęczał. Nie, gałązka jedliny ani to majenie domu nijak do ojca nie pasuje. On do lasu - owszem, po drzewo na opał, po jodłę na deski - i zawsze z wielkim krzykiem i hałasem na całe podwórze. Bo łańcuch gdzieś się zapodział, bo wóz nie złożony, podkulek obluźniony, bo to i tamto nie tak jak być powinno. Czasem trochę klęcia na dodatek, że wszystko na jego głowie, bo choć dom pełen ludzi, ale nikogo do porządnej roboty. Gdzieżby ojciec myślał o tak błażej sprawie. Więc kto? Matka nie wchodzi w rachubę.

Rzuciłem okiem na łóżko, stojące w rogu izby. Puste. Od razu wszystko stało się jasne. Stryj Franek tam sypia, a łóżko puste. To jego dzieło. Dlaczego zaraz nie pomyślałem o nim? Wiadomo dlaczego. Stryj Franek dopiero wtedy wypływa na powierzchnię domowej świadomości, gdy komuś jest potrzebny. W innym wypadku istnieje jako mgła, jako mglisty cień człowieka, z którym można się liczyć lub nie, zależy od okoliczności. No, tak... stryj Franek. Do niego to pasuje. Cała ta leśna wyprawa, ta pamięć o wigilijnym zwyczaju - to on. Stary Franek. Jaki tam stary?

Wciąż jednaki. Od kiedy go pamiętam, zawsze ten sam, te same bruzdy na twarzy, ta sama dobroć dla wszystkich.

Dziwny stryj - niby służący, niby stryj... trudno się wyznać. Tu mieszka, liczy się do rodziny, ale z nim mało się kto liczy. On natomiast liczy się ze wszystkimi, jednakowo wszystkich szanuje, o wszystkim pamięta. On pierwszy sygnalizuje, że w ostatnich dniach żyto mocno zabielało i czas rozpocząć żniwa, że wczorajsza ulewa zamuliła dolny zagon ziemniaków, więc wypada przekopać rów... on zawsze wie, co gdzie i jak. Sąsiedzi mówią, że taki człowiek w domu to skarb nieoceniony, że na Franku stoi dom i cała gospodarka. Ale - rzecz dziwna i dla mnie niezrozumiała, dlaczego przy ojcu nikt tego nie powie. Być może, sam Franek nie pragnąłby tego, nie lubi pochwał. Chyba że na osobności, gdy nikt z domowników nie słyszy. Dziwny człowiek, może nawet cudak. Ale dobrze, że jest, przy nim jakoś milej i bezpieczniej. W wypadku burzy domowej potrafi gniew ojca uśmierzyć, biorąc na siebie cudze przewinienie. Wtedy ja patrzę ojcu prosto w oczy tak szczerze i tak niewinnie, żeby jak najprędzej uwierzył w moją nieskalaną czystość.

To jego sprawa z tymi gałązkami jedliny, z tym przystrojeniem domu. O czym on nie pamięta. Teraz każdy będzie wiedział,

ze wilia, ze święta. Taka zwykła gałąź z lasu - i zaraz inaczej, zaraz raźniej na sercu, weselej. Dom w zieleni, jakby inny dom, i ludzie jakby trochę inni. Ja sam inny wróciłem do łóżka.

Jakaś radość z niczego, oczekiwanie czegoś.

Szkoda, że Franka nie ma w pobliżu. Jego łóżko puste, gdzie on może być? Nad czym jeszcze przemyśliwuje? Na dziś dość, mógłby wrócić i udawać, że nigdzie nie był, do lasu nie chodził, o niczym nic nie wie. Byłaby z tego nowa wesołość. A ja zasko-
koiłbym swoją ciekawość, która mię trapi i spokoju nie daje. Przecież pilno mi zapytać o tę choinkę tak honornie ustawioną na kupie gnoju. Po co tam? Bardzo pilno mi wiedzieć. Franka nie ma ani tu blisko, ani nie słychać, aby w oddali jakiś szelest zdradzał jego obecność. Pewnie zaszył się w ciemny kąt i odmawia pacierze.

Nie pozostaje mi nic innego, jak samemu w ciepłe łóżka pomedytować nad tą sprawą. Bliskość świąt podsunęła mi myśl chyba najbliższą prawdy. Omal nie krzyknąłem z radosnego odkrycia. Wiem, wiem, nie muszę się pytać nikogo, sam potrafię sobie wyjaśnić. Przecież w tej betlejemskiej szopie obok złobu z Nowonarodzonym stał wół, stał osioł; a jeśli zwierzęta, to wiadomo, że musiał być i nawóz. Czyli że pierwszy ziemski zapach

podchodził do Dzieciny stamtąd. No, cóż, gdy się ktoś staje mieszkańcem ziemi, musi wszystkiego zakosztować - jak nie smakiem to węchem. No i patrzcie, Franek nawet o tym nie zapomniał, nawet ten fakt uczcił.

Ale co szkodzi zapytać samego Franka, co szkodzi udać głupiego, nieświadomego rzeczy - ot tak dla żartu, dla zabawy. Więc zacząłem kpić z Franka, że stroi co napotka: drzwi, okna, wrota do stodoły, nawet studnia została umajona, nawet kupa z nawozem. Jedynie o psiej budzie zapomniał. A czy pies gorszy od zwierzęcia? Niechże powie, czy gorszy.

Franek drapie się po głowie, wargami rusza, to znak, że myśli. Tak, rzeczywiście, pies nie gorszy, stróżuje ludzkiego dobra, a choć do betlejemskiej szopy nie przybył z pokłonnym szczekaniem to jednak ma ważny powód na wytkumaczenie swej nieobecności: w tym czasie stróżował dobra innych, by ci inni mogli spokojnie kołędować. Tak, pies ani trochę nie gorszy, ale tej choinki z kupy gnoju Franek nie ruszy i nie przeniesie do psiej budy. Na drugi rok będzie pamiętał o wszystkich, a w tym roku czym innym pieskowi wynagrodzi przeoczenie. Już on się postara, żeby pies miał wilię jak należy. A choinka niech stoi tam gdzie stała. I śmiać się nie należy. W tej kupie jakby nie było tkwi źródło życia. Bez nawożenia nic nie urośnie, nie obrodzi.

Bo choć deszczyk pokropi, choć słońko przygrzeje, jeśli ziemia nie otrzyma omasty, plonów nie wyda. Mówi się "dar boży" - prawda, tak się mówi, to tak ładnie się słyszy: "dar boży"... czyli z nieba. Ale każdy dobrze wie w czym leży sedno sprawy. Gdyby nie ten pagórek z nawozem, wnet zmarniałby ludzki dobytek. Honornie to on nie wygląda, prawda, ale pamiętać należy, że w nim życie. On także rodem z Betlejem.

Tupot kroków, trzask drzwi, zaczyna się dzień. Ojciec wniósł do izby miednicę z wodą, ustawił na ławie pod ścianą, wrzucił gałązkę jedliny, zerwaną ze świeżej podłóżnicy, jaką ktoś ozdobił studnię, i zawołał: - Dziecka, myć się!

Coś nowego. Nigdy czegoś podobnego, żeby sam ojciec z miednicą... żeby do rannego mycia zapędzał. To pewnie z powodu tej wili... niezwykły dzień, więc wszystko inaczej. Woda prosto ze studni, jakby się wycofać i uniknąć całej przyjemności wigilijnego mycia? Niestety trudno się zdecydować na sprzeciw. Wystarczy spojrzeć na ojca, a wie się wszystko, co myśli. Więc podchodzę do miednicy, zanurzam rękę i odskakuję na środek izby. Woda jak lód, szczypie, a gałąź kłuje niemiłosiernie. Wolałbym się umyć w śniegu, nawet cały, nagusieńki, niż w tej lodowni i do tego być pokłutym... Ale głos ojca nie ustępuje: dziś tak trzeba, to na zdrowie i na wesołe święta; woda źródłana,

a jodła czy świerk - drzewa świąteczne.

Ani jedno słowo nie trafia mi do przekonania. Co włożę rękę do miednicy, bardziej szczyplie i kłuje. Nawet wrażenie samego ognia... Kto wymyślił takie dziwactwo? Jakie tam zdrowie, jaka wesołość? A ojciec jakby się uwziął: stoi i patrzy. Czy dziś nie ma nic innego do roboty?

Coś mną zaczyna szarpać, coś innego niż mróz. Po prostu wściekła złość, okrutna złość, przerastająca wszystkie inne. Zrazu nie wiedziałem - na kogo, teraz wiem: na Franka. On jest sprawcą wszystkiego, tylko on. Przecież on przywiókł z lasu te podłaznice i umiał nimi całe obejście. Gdyby ojciec nie zobaczył przy studni świeżej jodełki, na pewno nie przypominałby sobie o starym świątecznym zwyczaju.

Tak ziorzeczącego w skrytości ducha całemu światu, a w szczególności Frankowi, nagle usłyszałem donośny głos matki: - Ludzie, wynocha stąd, do roboty! Czy zapomnieliście, że wilia? Ojciec, bierz się zaraz do pieca. Ja rozpalę, a ty postaraj się o suche, jodłowe drzewo do pieca. Do pieczenia kołaczy tylko drzewo jodłowe. Widziałam pod stodołą te pniaki, latem zwiezione; jeden ktoś porąbał, akurat dobrze podeschły. Prędzej pod stodołę. No rusz się jeden z drugim... Ojej, czy dam radę do pierwszej gwiazdy?

We mnie coś się obrywa, jakiś krzyk się wzbiera, pod gardło podchodzi. Po drzewo pod stodołę? W taki mróz, śniegu po kolana.. Nie, nie słucham, to nie do mnie, nie chcę słuchać, a za to z największą gorliwością wykonuję poprzednie zlecenie. Myję się z takim rozmachem, z taką siłą, że plusk wody z miednicy zagłusza inne głosy. O to mi chodzi, więc pluskać nie przestaję. A na dodatek stwierdzam dziwne zjawisko, że woda nie szczypie, nie parzy, nie kłuje, mogę się myć bez końca. Kazali - to się myję jak najgorliwiej, jak najsumienniej, a ukradkiem zerkam w stronę drzwi, czy ktoś nie chwyta za klamkę, a bodaj - czy ktoś nie zdradza podobnych zamiarów.

Lecz na nic takiego się nie zanosi. Ojciec coś tam dłubie przy zasuwie od pieca, matka na dobre bierze się do kuchennych obrządków, w sieni ktoś postukuje, ale drzwi nie otwiera. Czyli wszyscy w innym świecie, o drzewie do pieca jakby nie słyszeli, jakby ich to nie dotyczyło. Dobrze - myślę sobie - ja także o niczym nic nie wiem, ja także nie słyszałem. Kazali się myć, więc się myję, trę skórę do upadłego, niechże będzie na zdrowie i wesołe święta, niechże będzie. A w skrytości ~~duch~~ sobie powtarzam: jak długo jeszcze mogę się tak chlapać? To się musi jakoś skończyć, musi...

Skończyło się. Usłyszałem z tyłu głośny lament: Rany... co ten chłopak wyprawia? Patrzcie: pół podłogi zalane... jedno bajoro! Tylko na chwilę z oka spuścić, to zaraz tak...

Czekam w pokorze na niechybne rozkazanie, zrezygnowany na wszystko. Widok zalanej podłogi podziałał kusząco na mój opór. Pójdę po drzewo, pójdę, nawet butów nie ubiorę, niech przemarznię, niech zachoruję, niech nawet umrę. Wtedy zobaczą, będą żałować... Jeszcze czekam na wyraźny rozkaz, wiszący tuż-tuż nad moją głową.

A wtedy cud niebywały, większy niż ten w Betlejemie: słyszę za sobą ciężki rumor spadających drewek na podłogę. I ten głos, najmiłszy głos Franka: - Macie palenie... chyba wystarczy. Sam kiedyś narąbałem, ~~nie~~ miało czas wyschnąć. Jodłowe, akuratne pod kołacze. Zobaczycie, jakie kołacze przy takim ogniu wyrosną. Nawet anieli zaśpiewają w niebie gloryją. Zobaczycie. Ino gadajcie zaraz, czy wystarczy.

Nie słyszałem, czy ktoś odpowiedział. W moich uszach już dźwięczała świąteczno-kołaczowa gloryja.

- - - - -